

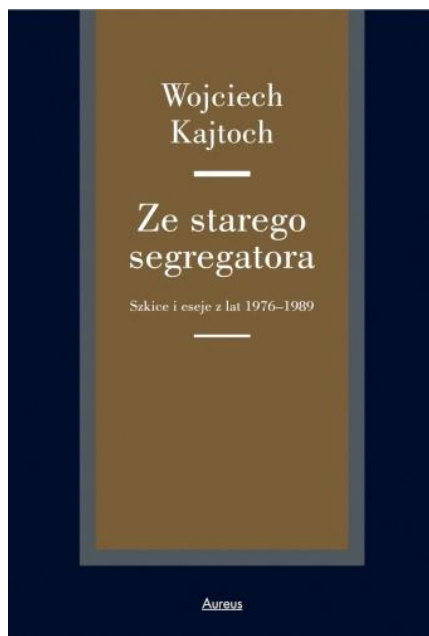
praca „Argumentami” i „Tu i Teraz”, omówienie tzw. rewolucji w polskiej młodej prozie (Siejak, Anderman, Sołtysik, Drzeżdżon). W profesorskiej książce znajdziemy, poza tekstami drukowanymi w latach 1976-1989, aż 14 takich, których wtedy nie opublikowano, niektóre mamy więc okazję poznać je po raz pierwszy. Czytałem z uwagą, oczywiście różną, w zależności od stopnia zainteresowania recenzowaną pozycją, jej autorem lub tematyką. Ubawiła mnie wręcz odpowiedź prof. Kajtocha na „Ankiety Andrzeja Śnioszka” pytającego o modernizm i postmodernizm w literaturze XX wieku: „Dla mnie »modernizm« to nurt artystyczny i literacki rozwijający się w okresie »Młodej Polski«, czyli mniej więcej w latach 1890-1918, a postmodernizm to sztucznie zaimplementowana z Zachodu moda niemająca zbyt dużej wartości”. Dziś modnie jest mówić – ni z gruchy ni z pietruchy – o modernizmie w każdej nieomal dziedzinie twórczości, w architekturze etc. Nie wiem, skąd się to bierze. Pamiętam za to ze szkoły średniej, iż modernizm był właśnie tym, co określał W. Kajtoch. Jaka to radość, że ktoś jeszcze w tym kraju myśli podobnie...

Sumując: dostrzegłem wiele problemów i poglądów wspólnych, łączących mnie z krakowskim twórcą, jak choćby kwestia tzw. komunizmu, którego wszak nie było w Polsce Ludowej, myślenia o ówczesnej opozycji i jej wydawnictwach literackich (są w książce ciekawe akapity dotyczące finansowania druków podziemnych, sponsorowanych przez „mecenat »dolarowo-kościelny«” i tych „naziemnych”), a także refleksje na temat postaw postaci świata nauki i sztuki. W. Kajtoch w latach 80. najwinnie walczył jeszcze o socjalizm w krytyce literackiej, zatem myśli i pisze w tym duchu, co – zaskakująco – spotyka się „ze swoistą cenzurą redakcyjną, która (...) z pietyzmem usuwa »zbyt propanstwowe« fragmenty”. W tekście dla „Argumentów” z listopada 1986 roku pt. „O polityce, krytyce i pieniądzach” formułuje zdanie, jak się okazało prorocze, „W niedalekiej przyszłości w ogóle może zabraknąć krytyków marksistowskich”. A przecież tzw. środowisku właśnie o to chodziło...

Prof. Wojciech Kajtoch w „Posłowie po latach” tak komentuje odrzucanie jego tekstów, skracanie ich czy przerabianie: „Wykazałem się kiedyś wielką naiwnością, sądząc, że mam prawo do własnego głosu, że jak wejść między wrony, to nie będę musiał krakać jak one. W rezultacie pozostałem samotny, bo śpiewu w chórze wciąż nie mogę się nauczyć...”. I dalej ciągnie: „Domagałem się szczerości, walki z otwartą przyłbicą, udowadniania swych stwierdzeń, unikania idiotycznej irracjonalnej propagandy, zachęcając do samodzielności w myśleniu i naukowej uczciwości”. Mowa tu o latach 80. XX wieku, okresie walk politycznych na wielu frontach, a więc również w literaturze i nauce. W rezultacie przyszedł naukowiec, siedząc okrakiem na barykadzie, narażał się obu stronom konfliktu, „swoim” i „tamtym”. „A ja po prostu chciałem być krytykiem literackim oraz polonistą” – stwierdza współcześnie. To się ongiś nie udało. Ale per saldo jednak „wyszło na moje”, może chyba dzisiaj ocenić profesor W. Kajtoch. Dlatego nie bez złośliwości puentuje: „A książkę tę chciałbym zadedykować

wszystkim tym, którzy w latach osiemdziesiątych trzęśli krakowską, ujętowską polonistyką i literackim środowiskiem, tudzież tym, co pod koniec dekady objęli władzę w IBL-u. Jeśli jeszcze nie umarli, mam dla nich przykrą nowinę” »Żyję i wciąż tworzę. Nie wyszło, misiaczki, nie wyszło«”.

## Eugeniusz Kurzawa



Wojciech Kajtoch, „Ze starego segregatora. Szkice i eseje z lat 1976-1989”. Wydawnictwo „Aureus”, Kraków 2026.

## Światło, które pamięta

Światło nigdy nie jest tylko światłem. Przychodzi z daleka – nie tyle z nieba, ile z czasu. Niesie w sobie pamięć rzeczy, których już nie ma, i dotyka ich jeszcze raz, jakby chciało upewnić się, że naprawdę zniknęły. Nie ma w nim pośpiechu, choć nieustannie się porusza. Jest cierpliwe, jakby wiedziało, że wszystko, co napotyka, i tak ostatecznie do niego powróci – w formie wspomnienia, odbicia, cienia.

Rankiem jest jeszcze niepewne. Wślizguje się między firany, przeciska przez szyby, rozlewa ciekłą warstwą po podłodze. Nie narzuca się. Raczej pyta niż stwierdza. W tej godzinie rzeczy są jeszcze półobecne – zawieszono między snem a rzeczywistością. Stół nie jest do końca stołem, a ściana nie oddziela jeszcze w pełni jednego świata od drugiego. Światło pomaga im się wydarzyć. W południe nabiera pewności. Ostrzej rysuje krawędzie, wyciąga szczegóły, których wcześniej nie było widać. Nie pozwala się ukryć. Każda rysa, każdy ślad użycia, każda nierówność wychodzi na

powierzchnię. To światło bez złudzeń – takie, które nie upiększa, lecz odsłania. A jednak nawet wtedy pozostaje czymś więcej niż tylko narzędziem widzenia. Jest formą pamięci, która nie ocenia. Najbardziej jednak przemawia wieczorem. Gdy opada, staje się cięższe, gęstsze, jakby niosło w sobie cały dzień. Barwy tracą ostrość, kontury się rozmywają, a rzeczy zaczynają wracać do siebie – do swojego milczenia. Wtedy światło nie tyle pokazuje, co żegna. Każdy przedmiot otrzymuje ostatnie spojrzenie, ostatni dotyk. I choć nic nie zostaje zatrzymane, wszystko wydaje się na moment pełniejsze.

Na ścianie domu, który pamięta więcej niż jego mieszkańcy, światło zatrzymuje się szczególnie długo. Wnika w pęknięcia tynku, przesuwa się po starych fotografiach, dotyka ram okiennych, które były otwierane setki razy – zawsze w innym czasie, zawsze przez inne ręce. Ten dom nie jest tylko miejscem. Jest zapisem. Warstwą nałożoną na warstwę, historią, której nie da się już odczytać w całości. A światło próbuje – cierpliwie, bez słów – odtworzyć choć fragment tej utraconej ciągłości. Człowiek w tym wszystkim jest obecny, ale jakby obok. Patrzy, lecz widzi za mało. Przyzwyczał się do światła tak bardzo, że przestał je zauważać. Stało się oczywiste, a przez to niewidzialne. Tymczasem ono nieustannie coś mówi – językiem cieni, odbici i drżących konturów. Mówi o przemijaniu, lecz nie z rozpaczą. Raczej z cichą zgodą, jaką mają rzeczy, które wiedzą, że ich istnienie jest chwilowe, a mimo to wystarczające.

Może właśnie dlatego sztuka próbowała światła zatrzymać. W obrazach dawnych mistrzów nie było ono dodatkiem – było istotą. Przenikało sceny, budowało napięcie, nadawało znaczenie temu, co pozornie zwyczajne. Wystarczyło jedno rozjaśnione miejsce, by cała kompozycja zaczęła oddychać. Światło nie służyło przedmiotom – to przedmioty służyły jemu. A jednak nawet tam nie dawało się uchwycić do końca. Zawsze zostawało coś poza płótnem, coś niedopowiedzianego. Jakby jego prawdziwa natura wymykała się każdej próbie zatrzymania. Może dlatego najbardziej autentyczne pozostaje w ruchu – tam, gdzie nie można go powtórzyć ani odtworzyć. Na wodzie, która nigdy nie jest taka sama. W szybie, która odbija nie tylko obraz, ale i jego zniekształcenie. W liściu, który drży, choć powietrze wydaje się nieruchome.

W takich chwilach światło nie jest już czymś, co się widzi. Staje się czymś, co się przeżywa. Przestaje być zewnętrzne. Przechodzi przez człowieka, zostawiając ślad, którego nie da się nazwać, ale który pozostaje – czasem na długo, czasem tylko na moment.

Pamięć działa podobnie. Nie przechowuje rzeczy w ich pierwotnej formie. Przekształca je, rozmywa, wybiera fragmenty, pomija inne. Tworzy własne obrazy, które są jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe. Światło jest jak pamięć – nie wierne, lecz znaczące. Nie odtwarza świata, ale nadaje mu sens. Dlatego niektóre chwile zostają w nas na zawsze, choć nie potrafimy powiedzieć, dlaczego. Może to kwestia światła, które wtedy było inne – bardziej skupione, bardziej obecne.

(Dokończenie na stronie 12)